Stanisław Dobrzycki

"Dzieje krytyki literackiej w Polsce", Piotr Chmielowski, Kraków 1902 : [recenzja]

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 2/1/4, 446-455

1903

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MUZEUM HISTORII POLSKI

Recenzye i Sprawozdania.

Chmielowski Piotr, Dzieje krytyki literackiej w Polsce. Qui parce laudat, parcius vituperet. Mistrz Wincenty. Dla uczczenia 35-letniej działalności autora jako pisarza i pedagoga wydane staraniem jego przyjaciół i kolegów, z portretem autora i z przedmową Bronisława Chlebowskiego. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolfa. Kraków, G. Gebethner i S-ka. 1902. w 8-ce. str. XVIII+IV+584+X.

Dzieje krytyki literackiej w Polsce prof. Chmielowski rozpoczyna od listu biskupa krakowskiego Mateusza z r. 1150 (str. 11). Czy nie za wcześnie? Krytyka francuska chyba starsza i większa od naszej, a Brunetière (L'évolution des genres, str. 41) zaczyna jej historyę od dzieła Du Bellay'a »Défense et Illustration de la langue française«, które wyszło w r. 1550, a więc równo w czterysta lat po naszym pierwszym jakoby krytyku.

Skądże to pochodzi? Czyżbyśmy tak onego czasu byli wyprzedzili Francuzów? Nie; tylko Brunetière mówi krytyce, i to tylko o krytykach teoretykach, o takich, którzy budowali systemy ogólne krytyki, Chmielowski zaś nawet nie o sądach, chociaż nazywa owe uwagi ze zbyt wielkim dla nich honorem »sądami krytycznymi«, ale o zupełnie dorywczych, przypadkowych, nieuświadomionych, niekrytycznych mniemaniach.

Otóż tutaj zaraz nasuwa się pytanie zasadnicze, które zadajemy sobie w tej chwili w odniesieniu do książki Chmielowskiego, a które oczywiście autor zadał sobie przed napisaniem książki: co należy włączyć do dziejów krytyki? co należy włączyć do historycznego krytyki traktowania? Z pytania tego rozwiną się nam później inne, równie doniosłe — choćby dla oceny książki.

Więc naprzód: czy te niekrytyczne sądy krytyczne, czy te mniemania i mętne wyobrażenia, nieosadzone na wyrozumowanej podstawie, należy zaliczyć do krytyki? Zasadniczo — nie. Rozmaite przysłowia, aforyzmy, uwagi luźnie rzucane, zawierają w sobie pewne okruchy poglądu na świat. Dążność do ogólnego na świat poglądu jest według Struvego jedną z zasadniczych cech filozofii (Wstęp krytyczny do filozofii, wyd. 3. str. 95). Ładnie wyglądałaby taka historya filozofii, któraby i te okruchy uwzględniała. Prawda, że niedawno z powodu jubileuszu Konopnickiej mogliśmy czytać artykuł o motywach filozoficznych w jej poezyi, ale błogosławieni, którzy wierzą, że one istnieją; — zdanie *credo quia absurdum* nie da się tutaj zastosować. Więc i historya krytyki tych przedwstępnych wyobrażeń uwzględniać nie może — w pewnym tylko razie, o którym zaraz niżej powiemy. Krytyka, a więc i jej historya, zaczyna się chyba dopiero tam, gdzie się staje uświadomioną, gdzie się opiera na jakichś przemyślanych i obmyślanych zasadach; mniejsza o to, czy ona będzie dogmatyczną, czy metafizyczną, czy empiryczną. Taka krytyka zaczyna się u nas — czy ja wiem kiedy? Z dzieła Chmielowskiego dowiadujemy się, że pierwszą w Polsce poetyką, jest dziełko Sarbiewskiego »Praecepta poëtica« z roku 1630 (str. 44). Blizkim zaś temu dziełu co do czasu jest »Poeta« Łukasza Opalińskiego. Ale oba te dziełka nie były ogółowi znane, nie miały dalszego ciągu, — więc tak Bogiem a prawdą należałoby początek ciągłego (choćby i względnie ciągłego) rozwoju naszej krytyki przesunąć aż do połowy wieku XVIII., i stąd dopiero zaczynać jej dzieje.

Ale — mógłby kto powiedzieć — wszystkie owe sądy z wieków XV—XVII., choć do samej krytyki i jej dziejów nie należą, są jednak ciekawe jako przykłady naszych ówczesnych pojęć o literaturze, a jako takie przed właściwą krytyką miejsce mieć mogą i powinny — wszak to jej zwiastuny i poprzednicy! Uwaga zupełnie słuszna, ale mamy na nią w zapasie kilka pocisków.

Naprzód, że autor sam tak kwestyi nie stawia. Owszem cały układ dzieła, cały sposób przedstawienia rzeczy, pokazują jaśnie, że Chmielowski te wszystkie sądy stawia zupełnie na równi z właściwą krytyką — jedne i druga są u niego równorzędne: rozdział pierwszy, średniowiecze, — rozdział drugi, humanizm, — rozdział trzeci, pseudoklasycyzm — i tak dalej, wszystko jest sprowadzone do wspólnego mianownika. Wszystko jest krytyką. Choćby już objętością pojedynczych rozdziałów autor takie mniemanie zdaje się uzasadniać: humanizm 55 stron, pseudoklasycyzm (z Dmochowskim, Golańskim, Czartoryskim, Bohomolcem) 54. Nie przywiązuję do tego zbytniej wagi, ale zawsze to coś znaczy.

Widzimy tedy, że ów słuszny zarzut nie byłby zarzutem autora. A teraz stawmy się na jego stanowisku. Przypuśćmy, że i to wszystko, co mówił czy Mistrz Wincenty, czy Rey, czy Klonowic, że to wszystko jest »krytyka«. W takim jednak razie pragnęlibyśmy więcej konsekwencyi. Albowiem przytoczywszy poglądy Klonowica lub Kochanowskiego na poezyę, należałoby też uwzględnić i późniejszych — ot taka ważna kwestya jak pojmowanie poezyi przez poetów romantyków: a »gwiazdy

około twej głowy« — albo »przez ciebie przepływa strumień piękności« to nie mniej ciekawe, a chyba piękniejsze od »trzeba bowiem animuszu niezamarszczonego do wiersza uczonego«; albo kiedy mistrz wyciąga dłonie i kładzie je na gwiazdach, to jako Prometeusz, ale przedewszystkiem Prometeusz-poeta. Jeżeli Chmielowski przytacza zdania Reya lub autora »Proteusa« o poetach i ich dziełach, to należało też n. p. wspomnieć, co Słowacki mówił o Mickiewiczu lub Witwickim w »Beniowskim«, albo co Koźmian i inni klasycy o romantykach, albo (niewspomniane ani słówkiem!) wymienić listy Morawskiego do klasyków i romantyków. Wybrałem na chybił trafił kilka tylko — ale każdy przyzna ciekawych i ważnych przykładów.

Przypuściwszy zaś (posuwamy się w ustępstwach jak najdalej), że autor tę epokę wliczył do krytyki, ale kiedy się zaczęła krytyka prawdziwa, już się takimi sądami nie potrzebował zajmować, to znowu w takim razie zdziwimy się ustępowi o Stanisławie ze Skarbimierza (str. 13—15), ustępowi, w którym jest mowa o naukach, uprawianych na wydziale sztuk i nauk wyzwolonych, ale nie ma najmniejszej zgoła wzmianki, któraby się dała — bez silnego naciągania — odnieść do literatury i krytyki; zdziwimy się, że w wyliczaniu sądów humanistów o pisarzach współczesnych pominięto tak charakterystyczne uwagi Orzechowskiego o nim samym, o Hozyuszu i Kromerze (Dyalog albo rozmowa około exekucyi, wyd. Turowskiego, str. 81—82); że pominięto uwagi Górnickiego o pismach i pisaniu (Dworzanin, wyd. Tur. str. 44 do 51); że pierwszej historyi literatury polskiej (Starowolskiego) poświęcono tak mało miejsca i uwagi (str. 33), a zapomniano o historyczno-literackim wstępie tegoż autora do »Votum o naprawie rzeczypospolitej« z r. 1625.

Słowem — dwa pierwsze rozdziały, jako zbiór ówczesnych sądów literackich, są niezupełne; zaś jako tylko przykłady, są za obszerne, i zanadto na równi z innymi postawione rozdziałami, zanadto wielkie odbierają honory.

Już tutaj pokazuje się jeden z niedostatków omawianej książki, może i najważniejszy, bo on ją — powiedzmy po prostu — zwichnął.

Co autor uważa za krytykę? co ma być treścią jego dzieła? czem będą dzieje krytyki? Pytania to ważne. Pojęcie krytyki nie jest rzeczą tak ustaloną, tak bezwzględnie i powszechnie przyjętą, jak n. p. aksyomat, że dwa a dwa jest cztery. Otóż swojego pojmowania krytyki Chmielowski nie podał. Mówi wprawdzie na wstępie, że »wielce rozległy zakres obejmuje pojęcie krytyki«; zdanie najsłuszniejsze w świecie, ale zdaje mi się, że obejmuje zakres zanadto rozległy. Objaśnia nas za to autor, co *nie* weszło w zakres jego dzieła; więc historye literatury, o ile pierwiastek estetyczny nie zajmuje w nich wydatnego miejsca, i takie monografie, które kreślą życiorysy poetów lub poszczególne ich utwory poddają analizie historyczno-literackiej, niewiele się zajmując estetyczną ich oceną (str. I).

Jak widzimy, jest to określenie niesłychanie nieokreślone. Zobaczymy niżej, jakie ono pociąga za sobą skutki Nie bądźmy jednakże pedantami: wszak nie jest konieczną rzeczą, aby autor dawał na wstępie

teoretyczne określenia; przecież książka sama da na to odpowiedź. Jakkolwiek więc jesteśmy trochę zaniepokojeni owemi uwagami wstępnemi, to jednak bez jakichś uprzedzeń szukać będziemy odpowiedzi na owe pytania w samej książce.

Co rozumieć mamy przez dzieje krytyki, o tem już autor mówi nieco szczegółowiej. »Dzieje krytyki, zbliżając do siebie objawy, w różnych czasach uwydatnione, oprócz spełnienia właściwego sobie zadania, t. j. przedstawienia szeregu faktów w ich prawdzie i w ich związku przyczynowym, uświadomić mogą także potrzebę odbicia samorodnej, oryginalnej cechy w naszych poglądach na piękno, wyrażone za pomocą słowa (str. 3). W zdaniu tem są dwie części. W drugiej słychać odgłosy maksymy o historyi jako mistrzyni życia. Jest to w zgodzie z wybitnie pedagogiczną cechą większej części dzieł Chmielowskiego, w zgodzie też z pragnieniem, wyrażonem w przedmowie do »Dziejów krytyki«: »Uświadomienie to może choć w części przyczynić się zdoła do rozjaśnienia tego zamętu pojęć estetycznych, jaki obecnie znowu w literaturze naszej zapanował« (str. III.). Część pierwsza jest określeniem dziejów wogóle, bo każde dzieje będą przedstawieniem faktów w ich prawdzie i w ich związku przyczynowym.

Więc i określenie dziejów krytyki nie może nas jako żywo zadowolić. Ale znowu zaznaczmy, że autor nie musi określać teoretycznie swego stanowiska; jeżeli to określenie da, to jego dobra wola, — nie da, musimy się z tem zgodzić. Za to mamy prawo szukać tych pojęć w książce; ona nam pokaże, co autor uważa za krytykę, czem są według niego dzieje krytyki. Takie zasadnicze pojęcie będzie dla książki tem samem, czem plan dla budującego się domu; bez planu budowany — dom stanie się dziwnym konglomeratem najrozmaitszych ubikacyi bez ładu, bez śladu celowości. Takie zasadnicze pojęcie będzie książki osią i punktem ciężkości, — bez niego książka będzie zbiorem materyałów, oświetlanych coraz to innemi światłami. Niech to pojęcie będzie dobre lub złe, szczęśliwe lub mizerne: to rzecz inna; być musi, jeżeli książka ma być dziełem, całością. Książka naukowa, obejmująca pewną całość, jest także dziełem sztuki: bez idei - matki będzie tors, disiecta membra.

W »Dziejach krytyki« niedość wyraźnie występuje idea zasadnicza.

Prawda — we wstępie autor wywiesza sztandar pierwiastku estetycznego. Wyłącza ze swego dzieła tych krytyków, którzy jego zdaniem na ten pierwiastek estetyczny nie kładli większego nacisku. Co znaczy ten pierwiastek estetyczny? jakby go tu uchwycić, żeby mu się przypatrzeć? Ten, który dał początek krytyce, Arystoteles o nim nie mówi (czyby go autor także wyrzucił z dziejów krytyki europejskiej?). Na te pytania szukamy odpowiedzi w książce. I widzimy n. p. ustęp o Spasowiczu (str 381—384), długi, za długi, który się zajmuje pokazaniem czego? jak Spasowicz oceniał polityczną wartość idei romantyzmu. Piękna estetyka! Czytamy dalej (na str. 384): »Pokrewna dążność polityczna.... usprawiedliwia zestawienie Spasowicza z Tarnowskim«. Piękna estetyka! Ustęp o Tarnowskim (str. 384—402) raczy nas dosyć często

wyrazami »estetyczny«, »sądy estetyczne« — ale pokazane to nie jest, większą część ustępu zajmuje polemika o poglądy polityczno-społeczne. I oczywiście uwagi o »fanatyzmie reakcyjnym« (Chmielowskiego to słówko, nie moje). Piękna estetyka! Wiadoma rzecz, że studya Tretiaka, zwłaszcza mickiewiczowskie, należą do najlepszych w naszej literaturze krytycznej, a moment »estetyczny« zajmuje w nich (obok problemów psychologicznych, które z »estetycznymi« chyba są ściśle związane) miejsce jedno z najważniejszych. »Dzieje krytyki« zaznaczają u Tretiaka »subtelne poczucie formy artystycznej«, »wydobycie umiejętne wszystkich piękności«, »szeroką podstawę psychologiczno-estetyczną« — bez pokazania tego wszystkiego, bez uwydatnienia; mówią to tak *en passant*, bo im spieszno do polemiki o siłę fatalną Słowackiego, o pojmowanie przyjaźni, i do bezbarwnej uwagi, że »Tretiak pisze ładnie«.

I takich rzeczy więcej. Jest Choiński i Morzkowska i Kościałkowska, jest Bartoszewicz (Kazimierz) i Prokesch i Suesser, a jakże, czemuby nie mieli być? To przecież tacy »estetycy«! Ale Brücknera, który pół historyi literatury polskiej w inne skierował drogi — nie ma; ale Bruchnalskiego, który tyle kwestyi mickiewiczowskich wyjaśnił, który pierwszy u nas zajął się wykazaniem, jak wyglądało pojęcie poezyi u naszych autorów XVI. wieku — nie ma; ale Pilata lub Kaliny z ich pracami, choćby tylko o Bogurodzicy — nie ma. Ciekawy jest ten pierwiastek estetyczny! Tylko gdy się objawi raz w Bemie, drugi raz w Prokeschu, raz jako rozważanie idei społecznych, drugi raz wcielony w reportera, piszącego o literaturze, to nie możemy się wstrzymać od uwagi, że to nader zacna istota; tak się łaskawie daje roz-, wy- i naciągać, taki elastyczny. Marnym partaczem wobec niego był Proteus,

»mieniąc śie to w smoká,
To w dészcz, to w ogiéń, to w bárwę obłoká«.

To punkt pierwszy. Należało go w recenzyi podkreślić silnie, bo autor, niezbyt szczęśliwie wygłosiwszy zasadę »estetyczną« we wstępie, konsekwentnie wspominał ją w toku dzieła, na to, aby z konsekwencyą jeszcze większą — raz ją uwzględniać, drugi raz zupełnie nie. Ten pierwiastek »estetyczny« zaszkodził całości »Dziejów krytyki« ogromnie.

Autor, stający przed tematem »Dzieje krytyki literackiej w Polsce«, staje przed terenem prawie nietkniętym. Sytuacya dziwnie nęcąca, obiecująca nowe odkrycia za każdym krokiem w głąb tego terenu, i bardzo trudna. Wszystko, co się znajdzie, wydaje się równie ważnem, równie ciekawem. A to takie zwodnicze, gdy się ma na tym terenie wytyczyć drogę. Żal porzucać to, co się znajdzie, zabiera się wszystko i obarcza się nadmiar; zbacza się zbyt często; wobec drzew nie widzi się lasu.

Co powinnyby obejmować dzieje krytyki literackiej w Polsce?

Sądzę, że przedewszystkiem to, co, objął Brunetière w swej Évolution: rozwój systematów krytyki, krytyków-teoretyków. Możnaby odrazu wziąć zarówno teoretyków literatury jak teoretyków krytyki — dwa obszary bardzo sobie blizkie. Prawda — nie byłyby to w historyi na-

szej krytyki systematy bardzo wykończone, ani bardzo oryginalne; nie wiem też, czyby się znalazło wszystkiego dziesięć imion, godniejszych uwagi. Ale to trudno. Mizernie, szczupło wyglądałaby taka książka, ale po co udawać wielkich panów, gdy się nimi nie jest?

Rozszerzył Chmielowski ramy swoich »Dziejów«. Włączył do nich, obok pisarzów grupy pierwszej, także takich, którzy całego (choćby względnie całego) systematu nie dali, ale przygodnie wypowiadali uwagi natury ogólnej. Tych poczet u nas niemały, my lubimy takie rzeczy (niedaleko szukając: niżej podpisany w pokorze przyznaje, że to samo robi w niniejszej recenzyi). Ale jeżeli w grupie pierwszej należało traktować wszystko co jest, to tutaj rzeczą konieczną był jakiś census (census inteligencyi, ośmieliłbym się powiedzieć); z wielu wezwanych należało koniecznie wyjąć niewielu wybranych. Mianowicie takich, którzy dali jakąś choćby względną całość, albo którzy wypowiedzieli zdania szczególniej głębokie i oryginalne. Chmielowski tego wyboru nie zrobił. Przez co książka zyskała na objętości, straciła na wartości. Ogromną liczbę nazwisk możnaby z niej usunąć, nie ze szkodą, z pożytkiem książki. Odnosi się ta uwaga zwłaszcza do epoki nowszej. Tak ustęp, poświęcony Kraszewskiemu (str. 281—306), możnaby ze spokojnem sumieniem zmniejszyć o dwie trzecie co najmniej. To samo możnaby zrobić z Kaszewskim (str. 306—322 i 364—371). Niewieleby książka straciła przez opuszczenie Orzeszkowej i Kościałkowskiej, skrócenie Bema, opuszczenie Morzkowskiej, opuszczenie nic nie mówiącego prostego wyliczania nazwisk (n. p. na str. 445, 464 i i.). Bogiem a prawdą toby właściwie należało z tej grupy wyrzucić wszystkich. Takie przynajmniej mam wrażenie, studyując dzieło Chmielowskiego. Bo, że jeden z tych autorów narzekał na etyczny upadek teatru, a drugi wygłosił zdanie, że sztuka nie jest naśladowaniem natury, a trzeci głosił żelazną logikę dramatu itd. itd.: to wszystko za mało. Należałoby, ściśle biorąc, utworzyć z nich grupę trzecią: krytycy praktyczni; z tego jak i co mówili oni o sądzonych przez siebie dziełach, wyciągnąć wniosek, jakie były ich zasady krytyczno-literackie. I w tej grupie zarazem umieścić działanie krytyki na rozwój literatury, więc jej skutek.

Tak sobie wyobrażam materyał dziejów krytyki, robiąc już daleko sięgające ustępstwa, przyzwalając już na umieszczenie wielu nazwisk, które mogłyby znaleźć dobrze zasłużony spoczynek na przykład u Estreichera. Nie upieram się przy tem, czy to pojmowanie będzie trafne. Chodzi mi tylko o pokazanie, że jakiejś zasady naczelnej autor »Dziejów krytyki« trzymać się musi, — a takiej zasady w książce Chmielowskiego nadarmo szukam.

Jest ona nie tyle historyą krytyki literackiej w Polsce, jak raczej zbiorem materyałów do takiej historyi.

Tyle co do zasadniczego punktu wyjścia, który niby jest, a którego nie ma. Teraz zaś zobaczymy szczegółowiej, *jak* autor dzieje krytyki przedstawia.

Z braku osi ideowej powstaje brak osi formalnej w książce. Książka się rozlatuje.

Chmielowski dzieli historyę krytyki w Polsce na pewne rozdziały. Są to: 1. średniowiecze, 2. czasy humanizmu, 3. czasy pseudoklasycyzmu (od Konarskiego do Dmochowskiego), 4. okres przejściowy (1801—1830), 5. krytyka w okresie romantyzmu, 6. okres realizmu, 7. modernizm.

Dwa pierwsze okresy, jak już mówiliśmy, odrzucamy. Zostaje wtedy krytyka, rozpatrywana według okresów literatury. Zupełnie słusznie, bo krytyka idzie równolegle z literaturą. Tylko czy okres literatury jest jednostką czasu? Tak jest n. p. w Historyi literatury polskiej Chmielowskiego, ale tak nie jest w rzeczywistości. Zjawiska, właściwe okresowi jednemu, pojawiają się jeszcze długo po rozpoczęciu drugiego; na odwrót, symptomata drugiego pojawiają się już podczas panowania pierwszego. Więc gdy ktoś pisze historyę literatury albo historyę krytyki, dzieląc ją na okresy, to albo chronologię musi gwałcić, czego mu za złe brać nie możemy, i co jest jeszcze najlepszem wyjściem z trudnego położenia, albo rozrywać będzie osobistości, fakta, wcielając je do dwóch różnych okresów, albo tworząc tak zwane okresy przejściowe. Jedna z tych rzeczy jest w tym razie nieunikniona, — najmniejszem jeszcze złem będzie pogwałcenie chronologii. Ale najgorzej, gdy autor robi jedno i drugie. A ten właśnie wypadek zachodzi w »Dziejach krytyki«. Kaszewski figuruje w romantyzmie i w realizmie; prawda, że nam się on nie wydaje ani czystej krwi romantykiem, ani pełnej krwi realistą, ale o to mniejsza — ostatecznie można się na ten rozdział zgodzić.

Tyszyński z »Pierwszemi zasadami krytyki« z r. 1870 należy do romantyzmu; także słusznie. Ale w takim razie co w realizmie robi »krytyka idealistyczna w czasach realistycznych«? (str. 407—415). Jeżeli się przy Tyszyńskim nie uważało na chronologię, toby należało to samo zrobić i dla owych krytyków »idealistycznych«. Wszyscy ci krytycy zresztą chronologicznie wchodzą i w okres modernizmu. Co tutaj z nimi robić? Autor radzi sobie w sposób dość prosty. Wszystkich starszych wsadza do realizmu, młodszych do modernizmu; tym sposobem grupowanie krytyków zależy od ich metryki. Między klasycyzmem, autor tworzy okres przejściowy. Przejściowy czem? Tylko chronologią. Bo trudno uważać jednakowo Osińskiego i Mochnackiego za krytyków o poglądach przejściowych, tkwiących jedną częścią w klasycyzmie, drugą w romantyzmie. Ależ takich »przejść« można utworzyć setki, każdy pisarz będzie »przejściowy«, będzie nim każdy okres. Mochnacki dostał się do dwóch okresów: on, romantyk w pierwszych pismach może jeszcze większy, w każdym razie jaskrawszy, aniżeli w Literaturze XIX. wieku. Mickiewicza programy romantyczne znalazły się w okresie przejściowym; w romantyzmie znalazł się jeno mistycyzm.

Widzimy tedy, jak dziwną jest zasada grupowania: raz jest nią wzgląd chronologiczny, więc czysto zewnętrzny, drugi raz właściwości krytyka i jego poglądy, więc wzgląd wewnętrzny (jedynie jak mi się zdaje uprawniony). Oczywiście stoi to w ścisłym związku z tym brakiem albo z tą niejasnością zasadniczego pojmowania krytyki; kto tam się nie trzyma jednej normy, to i w grupowaniu materyału jednej zasady

mieć nie będzie. Drobne podziały w zakresie okresów także chorują na tę różnobarwność; tak n. p w rozdz. szóstym znajdujemy jeden poddział: krytyka literacka u historyków literatury, drugi: krytyka idealistyczna w czasach realistycznych. Jak widzimy, podział ten nie opiera się na żadnej ścisłej zasadzie.

Z tego znowu naturalnym porządkiem rzeczy wypływa dalsza chyba dzieła. Jeżeli się do jednego okresu wcieli rzeczy różnorodne, to jakaż siła ludzka potrafi wydobyć zasadnicze rysy tego okresu? Czem się różni krytyka w czasach romantyzmu od klasycznej a od realistycznej? Z dzieła Chmielowskiego dowiedzieć się tego niepodobna. Ono nam podaje nieraz za szczegółowo treść, myśli pojedynczych dzieł i rozpraw; ale zasady naczelnej, tej od której zależą wszystkie inne, tej zwykle nie widzimy. Dlaczego Mochnacki i Siemieński i Klaczko i Kaszewski znaleźli się razem? Gdzie jest pierwiastek, stanowiący o ich wspólności? Dlaczego Spasowicz i Tarnowski znaleźli się razem? (argument o podobieństwie pojęć politycznych odsyłamy z podziękowaniem). Co z modernizmem ma wspólnego Bartoszewicz lub Gawalewicz? Jakie są zasadnicze cechy krytyki pseudoklasycznej? przecież nie prawo trzech jedności! Na czem polega przejściowość okresu przejściowego? Autor nie sięgnął głębiej, nie pokazał, co jest filozoficzną podstawą każdego okresu, co jego zasadniczym rysem, jak się z tego głównego źródła rozlewają dalsze właściwości; mechanicznie zgrupował ludzi i lata, podał zbiór martwych faktów, zażenowanych wzajemnem sąsiedztwem. Oparcia o literaturę, mimo »literackiego« podziału, autor wcale nie dał. A że krytyka żyje życiem wspólnem z literaturą, tylko w związku z nią się rozwija, i tylko w tym związku może być rozumianą i objaśnianą, przeto krytyka w książce Chmielowskiego żyje jakiemś życiem (o ile to jest życie) oderwanem, nie osadzonem na realnych podstawach. Jak zaś martwemi są okresy, tak też martwemi są osobistości; to nie żywi ludzie, ale automaty, które za odpowiedniem pociśnięciem wyrzucają z siebie takie a takie zdania. Może najlepiej jeszcze wyszły te osobistości, na które się autor zżymał; najlepiej — cum grano salis, — najżywiej. Tak n. p. portret prof. Tarnowskiego wyszedł żywo — ale jako »czarny charakter« krytyki, malowany wyborową sadzą. Przybyszewskiemu dostają sią cięgi, ale doprawdy, że jego poglądy przedstawione są lepiej niż n. p. Kraszewskiego, którego autor stara się ciągle bronić przed zarzutami, nasuwającymi się co chwila.

»Streszczenia podawałem zazwyczaj słowami samych autorów, w przekonaniu, że tracą swoją barwę indywidualną, gdy się je na inne zamieni. Zdań własnych krytycznych umieściłem jak najmniej«.

»Poprzestawałem zazwyczaj na krótkiem zaznaczeniu swojej opinii«. »Co się tyczy obrobienia, to przedewszystkiem starałem się nie naciągać faktów do jakichś formułek z góry upatrzonych, ale przedstawiać je jak można najwierniej«.

Podobne zdania znajdujemy w przedmowie do dzieła. Są to momenty ważne. Streszczanie słowami samych autorów jest wygodne, ale w niniejszym wypadku mniej szczęśliwie zastosowane. Zajmuje ono wiele, zbyt wiele miejsca, przez co nadaje się do książki wielkiej roz-

miarami, a i tu najczęściej do przypisków. Potem: czy warto to wszystko cytować? Najlepszy pisarz tę samą myśl powtórzy różnemi słowami; do myśli ważnej przyczepi i spląta z nią myśl mało znaczącą; obok poglądów, będących jego własnością i dla niego charakterystycznych, przytoczy przecież nieraz poglądy ogólne, potoczne, własność wszystkich. Historyk krytyki, który zechce cytować tak obficie, zmuszony jest cytować ziarno z plewami. Otóż może tu jest najważniejszy powód tego zjawiska, że w »Dziejach krytyki« rysy osobistości i epok tak są niewyraźne, tak mało mówiące. Autor spodziewał się, że przez obfite przytaczanie nada im barwę indywidualną. Stało się wprost przeciwnie; w nadmiarze słów nie widzimy osób. Historyk krytyki musi sam wydobyć rysy główne, przedsięwziąć pewnego rodzaju operacyę, a zarazem pewnego rodzaju stylizowanie; zupełnie to samo w odniesieniu do krytyki, co według Taine'a artysta wobec natury. On musi wykonać nierzeczywistość prawdziwszą od rzeczywistości. To nie jest przecież naciąganie do formułek z góry powziętych. Nikt chyba dzisiaj tego od historyka nie żąda. Co innego pojęcia, a co innego formułki.

Że zdań własnych autor umieszczał jak najmniej, to bardzo dobrze, ale właściwie to on ich wcale nie powinien umieszczać. Ma historyk przedstawić co było i jak było; gdy to zrobił, wszystko zrobił. A jeżeli jeszcze chce się potem odziać w togę sędziowską i sądzić, to już jego gust. Ale jeżeli już koniecznie sądzi, to niechże sądzi w tym kierunku, o którym mowa. Więc w dziejach krytyki: czy ten lub ów krytyk miał racyę, czy jego poglądy są głębokie czy płytkie, i t. p. Chmielowski, choć się zastrzega, że zdań własnych umieszczał jak najmniej, lubi polemizować. Czasem w zakresie krytyki; tak z Brandesem (str. 360—361), z Kaszewskim (368—9). Możnaby się na to zgodzić, gdyby taka polemika miała ostatecznie jakiś cel. Ale Chmielowski lubi polemizować o różne inne rzeczy: ze Spasowiczem o polityczne skutki romantyzmu (376—7), z Tretiakiem o określenie przyjaźni i jej skutków (412).

W całej tej jednakże sprawie jest rzecz głębsza. Jest to kwestya bezstronności. Autor każe z przedmowy domyślać się zdania: jestem bardzo bezstronny. W toku książki zaś bardzo surowo karci stronniczość, uprzedzenie, zaślepienie i tym podobne przymioty, które »zaciemniają wzrok krytyczny«. Widzi je wszystkie n. p. u Klaczki, Siemieńskiego, Tarnowskiego (cały długi ustęp jest rozwinięciem tej myśli), Tretiaka. Nad kwestyą tą nawet nie będziemy się zbytnio rozwodzić, bo bije ona w oczy: »Dzieje krytyki« przypominają mi tu owego mur zyna, o którym mówi jeden z naszych pisarzów. »Co jest złem? »Złem jest, gdy mi sąsiad ukradnie żonę«. — »Doskonale, mój synu; a co jest dobrem?« »Dobrem jest, gdy ja sąsiadowi ukradnę żonę«. Tyrada przeciw »konserwatystom dzisiejszym« (str. 251) w dziele, poświęconem historyi krytyki, nie bardzo świadczy o bezstronności. Pokrewna dążność polityczna każe grupować razem Spasowicza i Tarnowskiego. Ale jak cały ustęp, poświęcony Spasowiczowi, jest apologią, a ustęp, poświęcony Tarnowskiemu, oskarżeniem! Przecież obydwaj, zdaniem Chmielowskiego, walczyli z »nienawistną sobie ideą messyanizmu«. Obydwa te ustępy

napisane są roztropnie: w obu autor umieszcza niby to i światła i cienie i może na zarzut stronniczości odpowiedzieć, że zarówno wykazywał zalety i wady. Ale wiadomo, że *c'est le ton, qui fait la chanson.* Takie misterne delikatne a niemal ukryte pociągnięcie pędzlem, a zostanie po jednej stronie światło, po drugiej cień. I ogólne wrażenie będzie takie: Spasowicz, mimo pewnych wad, jest krytykiem niepospolitym; Tarnowski, choć ma pewne zalety, jest krytykiem, powodującym się jedynie względami stronniczymi, co tamte zalety zupełnie w cień usuwa. Z Osińskiego robi się mądrego krytyka, bo w jego wierszach znalazło się dążenia społeczne. Potockiego St. się chwali, ale zdaje mi się, że więcej dla »Podróży do Ciemnogrodu«, aniżeli dla krytyki. Witwickiego pominęło się zupełnie; czy może mniej zasługiwał na uwagę niż Grzymały, Żukowscy, Kościałkowskie? Czy może nie dla tego samego powodu, dla którego pominięty został St. Koźmian, choć się z niepamięci piasku odgrzebało wiele imion, z pewnością mniej zasłużonych?

* * *

Gdyby »Dzieje krytyki literackiej w Polsce« wyrzucić tak wysoko w górę, aby spadając rozprysły się na drobne cząstki, to wtedy dopiero pokazałaby się wartość książki. Większa część tych cząstek, jako przyczynki, materyał do dziejów krytyki polskiej, mają wartość wielką. W epoce nowszej dużo imion zostało wydobytych z zapomnienia. Podziwiać trzeba naprawdę ogrom pracy, jaki autor sobie zadał, ogrom materyału (zwłaszcza w zakresie czasopism), który przestudyował. Do epoki klasycyzmu i początków romantyzmu przynosi książka prof. Chmielowskiego mnóstwo rzeczy nowych, ciekawych, ważnych: Bohomolec, Czartoryski, Listy krytyczne, Golański, Dmochowskiego stosunek do Boala, Borowski, Brodziński, a zwłaszcza szczegółowe i doskonałe określenia Mochnackiego i to wszystko będą bardzo trwałe nabytki naszej nauki. Dopóki »Dzieje krytyki« zechcą się upierać przy tem, że są istotnie dziejami, historyą rozwoju krytyki, dopóty odmawiać im będziemy ważności, uważać za dzieło chybione. Z chwilą jednakże, w której zgodzą się na to, że są zbiorem materyałów do takiego dzieła, przyznamy im wartość bardzo wielką, przyznamy, że ten materyał jest bogaty, nowy, zebrany bardzo staranie i troskliwie, że jako taki stanowi wielką pomoc dla badań następnych, że może dać początek głębszemu zajęciu się dziejami krytyki w Polsce, że jest ogromnie ważną i ogromnie cenną zdobyczą naszej nauki. Wiadoma rzecz, jak mało znaliśmy dotąd dzieje krytyki w Polsce, jak dotkliwie odczuwało się brak jakiejkolwiek książki, któraby dawała jakibądź obraz całości. Otóż temu brakowi zaradzi dzieło Chmielowskiego.

Stanisław Dobrzycki.